Horace B. Fyfe

Wygnanie

(Exile)

Space Science Fiction, February 1953
Ilustracje: Emsh
Tłumaczenie: Witold Bartkiewicz © Public Domain
Oryginał tekstu i ilustracje zaczerpnięto z wydania Projektu Gutenberg.

Kopuła Oczu czyniła dla Terran dotarcie do planety Tepokt niemal niemożliwym. Dla tych jednak, którzy tam wylądowali, nie było już powrotu — tylko gorzki smak respektu — i sprawiedliwość!

Tepoktański słuchacz, którego niebieska szata, w opinii George'a Kintona, gryzła się z ciemną purpurą pokrywających jego ciało łusek, zamachał zakończoną trzema szponami ręką, prosząc o zwrócenie na niego uwagi. Kinton skinął w jego stronę głową, ze swojego miejsca na podium, przed całą grupą.

– George, a więc nie może nam pan podać precyzyjnie liczby gwiazd w galaktyce?

Kinton uśmiechnął się kwaśno i przesunął pomarszczoną dłonią po swoich siwiejących już włosach. W trzeszczącym języku Tepoktan, jego imię brzmiało mniej więcej jak „Szortcz".

Podobne do tego pytania, często były do niego kierowane, w czasie dziesięciu ostatnich lat, od kiedy jego rakieta przebiła się przez pas meteorytów i spadła na powierzchnię Tepokt, w wyniku czego ocalał tylko on. Odcięci od możliwości wyruszenia w kosmos, wysoce cywilizowani Tepoktanie nieustannie okazywali, charakterystyczną dla marzycieli ciekawość, w kwestiach dotyczących wszechświata. Z powodu kurtyny meteorytów i szczątków księżyców, wirujących wokół ich planety, tepoktańskim astronomom udało się zdobyć dręczące ich wspaniałe umiejętności, ale jedynie strzępki prawdziwej wiedzy.

– Tak jak już wspomniałem, jak sądzę, w jednym z moich zarejestrowanych wykładów – odpowiedział Kinton w ich języku, – jest ich faktycznie tak dużo, jak wydaje się to tym z was, którzy wyglądają poza Kopułę Oczu. Naukowcy z mojej rasy, nie napotkali jeszcze żadnej istoty, która potrafiłaby oszacować ich łączną liczbę.

Odchylił się z powrotem i przyjrzał się po kolei twarzom swoich rozmówców, twarzom które byłyby dziwnie humanoidalne, gdyby nie wydłużone pyski i szpiczaste, pełne ostrych zębów szczęki. Średni wzrost Tepoktanina wynosił nieco poniżej wzrostu Kintona, czyli pięciu stóp i dziesięciu cali, przy czym mieli oni długi, ale giętki tułów. Pod szatami, jakie zwykli nosić ich uczeni, krótkość ich łukowatych nóg, nie raziła w oczy, ale jedno spojrzenie na niedługie, grube ręce, umieszczone wysoko ponad klatką piersiową, ciągle wywoływało u Kintona poczucie niewłaściwych proporcji ich ciała.

Powinienem już się do tego przyzwyczaić, po tych dziesięciu latach, pomyślał sobie, ale ciągle jeszcze nawet czerwienie i purpury ich łusek, albo wielkie zęby, jakoś wydawały mu się bardziej naturalne.



– Podziwiam państwa ciekawość świata – dodał jeszcze. – To prawdziwy cud, że wasi naukowcy zdołali zmierzyć odległości do tak wielu gwiazd.

Trzeba było przyznać, że bardzo im się podobał jego podziw, i po raz kolejny zastanawiał się, dlaczego każdy, najmniejszy nawet pokaz jego aprobaty, był tak ochoczo przyjmowany. Nawet pomimo tego, że był pierwszym gościem z gwiazd w całej ich znanej historii. Kinton był świadom faktu, że na wielu polach nie był w stanie zaoferować Tepoktanom żadnych nowych idei. W jednym, czy dwóch kierunkach, jak uważał, żaden Terranin nie był w stanie nauczyć ich ekspertów niczego.

– A więc, George, może w takim razie powie nam pan więcej, o problematyce waszych pierwszych odkrywców międzygwiezdnych? – padło kolejne pytanie.

Zanim Kinton zdołał sobie przygotować odpowiedź, złote kurtyny z tyłu surowej i prostej sali, rozdzieliły się. W stronę podium pośpieszył Klaft, Tepoktanin służący w bieżącym roku jako główny doradca Kintona. Dwudziestu kilku członków grupy, siedziało w ciszy na wypolerowanych kamiennych ławach, odprowadzając szpiczastymi obliczami idącego Klafta.

Doradca dotarł do Kintona i nachylił się, aby wysyczeć i wytrzeszczeć do ucha tego ostatniego kilka słów, czymś co przypuszczalnie uważał za półgłos. Terranin pracowicie odcyfrował wiadomość, zapisaną na miękkim,

satynowym papierze, położonym mu przed oczyma. Potem wstał i zrobił krok w kierunku czekającej grupy.

– Z żalem muszę teraz zakończyć naszą obecną dyskusję – powiadomił zebranych. – Poinformowano mnie właśnie, że na powierzchnię Tepokt dotarł kolejny statek z kosmosu. Poproszono mnie o obecność, na wypadek, gdyby załoga pochodziła z mojej planety.

Klaft w podnieceniu zeskoczył z podium, aby poprowadzić ich przejściem między rzędami, ale Kinton wahał się. Osoby na widowni były uczonymi albo wysokimi urzędnikami, dla których obecność na jednym z ograniczonej liczby osobistych wykładów Kintona, stanowiła zaszczytną nagrodę.

Niewiele by się dowiedzieli od niego osobiście rzeczy, których nie było w nagraniach, poczynionych w trakcie kolejnych lat. Tepoktańscy naukowcy, historycy i filozofowie, z szacunkiem, ale gorliwie zbierali każdy skrawek informacji, którą Kinton mógł im świadomie przekazać –– i wiele takich, o których wydawało mu się, że już je zapomniał. Tym niemniej… po swoim obwieszczeniu, wyczuwał pewne rozczarowanie.

– Zorganizuję dla państwa możliwość oczekiwania na mój powrót, tutaj w mieście – powiedział Kinton i dookoła rozległy się pomruki zadowolenia.

Później, na pokładzie helikoptera odrzutowego, który generalnie był podobny do tych, jakie Kinton pamiętał z położonej w odległości dwudziestu lat świetlnych Ziemi, pokręcił przecząco głową na pełen szacunku protest Klafta.

– Ależ George! Wystarczy już, że byli obecni w chwili, kiedy otrzymałeś te wiadomości. Będą mogli rozmawiać o tym przez resztę swojego życia! Nie wolno ci marnować sił na tych ludzi, którzy przychodzą na spotkania ze zwykłej ciekawości.

Kinton uśmiechnął się na żarliwą troskę swojego doradcy. Potem odwrócił wzrok, w stronę okna, uświadamiając sobie pewien cień prawdy leżący u podstaw tego rodzaju protestów. Szacował, że miał już około czterdziestu ośmiu lat, przynajmniej na tyle, na ile był w stanie to określić na podstawie nieco wolniejszych obrotów Tepokt. Nadejdą czasy, kiedy zestarzeje się i umrze. Czyje życzenia wówczas okażą się ważniejsze?

Być może nie miał racji. Nie powinien może stawać w poprzek pragnieniom ich biologów i lekarzy. Ale raczej wolałby zostać pogrzebany, nawet jeżeli pozostawiłoby ich to tylko z taką wiedzą na temat ludzkiego ciała, jaką on mógł im przekazać.

Aby zapomnieć o dosyć zainteresowanych spojrzeniach, jakimi okazjonalnie obrzucali go niektórzy tepoktańscy naukowcy, popatrzył w dół, na wielką tamę zakładu hydro-energetycznego, ukończonego na podstawie projektu Kintona. Pochodząca z niego energia miała wkrótce oświetlić miasteczko, w którym mieszkał zespół naukowców, studentów i pracowników, przydzielonych do instytutu zorganizowanego wokół osoby Kintona.

Jak na razie, zreflektował się, był to raczej przykład ich chęci odpłacenia mu za taką pomoc, jaką był stanie im oferować. Dla siebie, wcale tego nie potrzebowali.

W pewnym sensie, w porównaniu ze swoimi odpowiednikami na Ziemi, większość gałęzi przemysłu na Tepokt było słabiej rozwiniętych. Przede wszystkim mniejsza była liczba ludności, a ponadto mieli oni odmienne standardy luksusu. Po drugie, brak było pewnego koła napędowego, wynikający z niemożności przebicia się w przestrzeń międzyplanetarną. Kinton niezaprzeczalnie miał olbrzymie szczęście, docierając na powierzchnię planety, nawet w mocno zmaltretowanym statku. Skorupa meteorytów, miała co najmniej sto mil grubości, i nieustannie się przesuwała.

– Nie wiemy, czy to zawsze były meteoryty – powiedzieli Kintonowi Tepoktanie, – czy też jakaś ich część pochodzi ze zniszczonego satelity. Nasi obserwatorzy udowodnili jednak matematycznie, że nie ma między nimi żadnego bezpośredniego korytarza, który dałoby się przewidzieć z wyprzedzeniem dłuższym, niż tylko krótkiej chwili.

Kinton odwrócił się od okna, kiedy pochwycił rozbłysk światła słońca Tepokt, na kadłubie statku kosmicznego, który także dla niego zbudowali. Być może… czy zachęcanie przybysza do próby przebicia się przez barierę, byłoby fair?

Przez dziesięć lat, Kintonowi nie udało się wypracować u siebie dostatecznie silnego pragnienia, żeby tego spróbować. Tepoktanie nazywali wiecznie przemieszczające się światełka Kopułą Oczu, zgodnie z mitem, że każdy maleńki satelita, dostatecznie jasny, aby był widoczny, miał obserwować pojedynczą osobę na powierzchni. Podobnie jak ich bracia na Ziemi, miejscowi astronomowie byli w stanie prześledzić rozwój swojej nauki wstecz, aż do postaci astrologii. Kinton często więc mówił im w żartach, że nie czuje pośpiechu do ryzykowania fizycznego spotkania ze swoim osobistym Okiem.

Helikopter zaczął obniżać lot, a Kinton przypomniał sobie, że wymienione w otrzymanej wiadomości miasto, znajdowało się zaledwie około dwudziestu mil od jego domu. Krótki zmierzch na Tepokt minął już, do czasu, kiedy stanął na lądowisku i zatrzymał się, aby popatrzeć do góry.

Co jaśniejsze gwiazdy, widoczne z tej części planety, migotały do niego, a on wiedział, że każda z nich była właśnie analizowana przez jakiegoś amatora, albo zawodowego astronoma. Zanim upłynie godzina, większość z nich zostanie przesłonięta przez małe księżyce, spośród których część już można było zobaczyć. Łatwo było je przeoczyć na tle gwiazd i pozostałych pięciu planet układu, ale na krótkie chwile najmniejsze z nich, zebrane w grupach, tworzyły na niebie mgiełkę, przypominającą miniaturę Drogi Mlecznej.

Klaft, który wysiadł jako pierwszy, pozostawiając pilotowi objęcie tylnej straży, zauważył przerwę jaką sobie zrobił Kinton.

– Wspaniale świecą, dopóki nie wie się, że są one przekleństwem – zauważył, cytując tepoktańskie przysłowie, często powtarzane przez niezadowolonych naukowców pod adresem Kopuły Oczu.

Kinton jednak zauważył, że jego doradca także przez dłuższą chwilę stał i spoglądał w górę. Tepoktanie uwielbiali rozmyślania o tym nierozwiązywalnym problemie. Zakładali nawet kluby dyskusyjne, aby debatować, czy to jeden satelita uległ zniszczeniu, czy dwa.

Kilku urzędników pośpieszyło aby eskortować całą grupę, do oczekującego na Kintona pojazdu. Klaftowi udało się uciszyć pomniejszych członków delegacji, tak by Kinton mógł zapoznać się z kilkoma faktami na temat nowego lądowania. Katastrofa miała miejsce kilkaset mil stąd, ale ktoś pomyślał o szpitalu w tym mieście, który znany był z posiadania lekarza, uważanego za eksperta w dziedzinie ludzkiej fizjologii. Ocalały –– we wraku nie znaleziono innych pasażerów, zarówno żywych jak i martwych –– został natychmiast przetransportowany tutaj drogą powietrzną.

Z trąbieniem klaksonów mały konwój samochodów zatrzymał się przez frontem szpitala. Zrobiono przejście przez rozgadany tłum, do drzwi wejściowych. Po kilku minutach, Kinton znalazł się w szpitalnej sali, stojąc nad łóżkiem, na którym leżał inny Terranin.

Mężczyzna! pomyślał, a następnie wykręcił kwaśno wargi w reakcji na nagłe, niespodziewane ukłucie rozczarowania. No cóż, aż do tej pory nie zdawał sobie sprawy z tego, na co tak naprawdę miał nadzieję!

Przybysz z kosmosu został umyty i obandażowany przez miejscowych medyków. Kinton widział, że jego lewe udo prawdopodobnie było złamane. Inne opatrunki sugerowały pęknięte żebra i rany na głowie oraz na ramionach. Mężczyzna miał czarne włosy, ale jasną skórę, wystający podbródek i nos, który został spłaszczony w jakimś wcześniejszym pechowym wydarzeniu. Zestaw odstających uszu, jakoś podkreślał ogólną szczupłość jego ciała. Nawet we śnie, usta miał wąskie i twardo zaciśnięte.

– Zerwał mu się pas i rzuciło go na stery? – domyślił się Kinton.

– Skłaniam głowę przed twoją mądrością, George – oznajmił pulchny tepoktański lekarz, który okazał się kierować tym wszystkim.

Kinton nie mógł go sobie przypomnieć, ale każdy na tej planecie zwracał się do Terranina, przy pomocy dźwięku, który jak z czułością myśleli, był jego imieniem.

– To jest doktor Chuxolkhee – wymruczał Klaft.

Kinton wykonał jedną ręką powszechnie przyjęty gest powitania o powiedział:

– Wydaje się, że leczy go pan z dużą znajomością rzeczy.

Chuxolkhee z zadowoleniem zwichrzył sobie łuski wokół szyi.

– Studiowałem fizjologię Terran – przyznał z samozadowoleniem. Oczywiście z pańskich zapisków i rysunków, George, ponieważ jeszcze nie miałem na tyle szczęścia, aby móc pana odwiedzić.

– Musimy zaaranżować wizytę jak najwcześniej – odparł Kinton. – Klaft zaraz…

Przerwał na dźwięk głosu pacjenta.

– Terranin! – wymamrotał ranny człowiek.

Potrząsnął głową jakby w oszołomieniu, próbował usiąść i opadł z jękiem na łóżko.

Czemu on wygląda na takiego wystraszonego, tym że mnie zobaczył? – pomyślał sobie Kinton.

– Teraz wszystko będzie już dobrze – powiedział uspokajająco. – Wszystko już skończone, a pan jest w dobrych rękach. Rozumiem z tego, że w katastrofie nie brało udziału więcej ofiar?

Mężczyzna wpatrywał się w niego z ciekawością. Kinton uświadomił sobie, że po tych dziesięciu latach, słowa jego własnego języka wydobywały mu się spomiędzy warg, strasznie niezdarnie. Spróbował jeszcze raz.

– Nazywam, się George Kinton. Nie winię pana, jeżeli ma pan trudności ze zrozumieniem mojej mowy. Widzi pan, jestem tutaj już od dziesięciu lat, a nie miałem żadnego innego Terranina, z którym mógłbym porozmawiać.

Przybysz z kosmosu zastanawiał się przez kilka oddechów, a potem wydawało się, że się odprężył.

– Al Birken – przedstawił się lakonicznie. – Dziesięć lat?

– Trochę więcej – potwierdził Kinton. – To ekstremalnie rzadkie wydarzenie, aby cokolwiek przedostało się na powierzchnię planety, a co dopiero statek. A jak się to udało panu?

Spojrzenie Birkena było ciągle podejrzliwe.

– A więc, nie słyszałeś pan nic o nowych koloniach? Nie… pan musiałeś przybyć tutaj, kiedy wszystkie planety były jeszcze otwarte.

– Mieliśmy małe osiedle na drugiej planecie – powiedział mu Kinton. – Chce pan powiedzieć, że teraz w kosmosie istnieją nowe terrańskie kolonie?

– Taaa. Skoczkowie rakietowi rozleźli się po kolejnych pięciu. Ale żaden z tych wiecznie głodnych ziemi idiotów, nie wymyślił sposobu, żeby przedostać się na dół tutaj, bo w przeciwnym razie szperaliby też wokół tej planety.

– A jak to się stało, że pan to zrobił? Zabrakło panu paliwa?

Jego rozmówca przyglądał mu się przez kilka sekund, zanim opuścił wzrok. Kintona uderzyły w tej chwili nagłe wątpliwości. Z reguły, za przyczółkami cywilizacji, podążały potem znacznie mniej pożądane jej elementy… na przykład, więzienia. Postanowił bardzo uważać na gościa.

– Taaa, można powiedzieć, że robiłem w eksploracji – w końcu odparł Birken. – Właśnie dlatego jestem tutaj sam. Nie chciałem, żeby ktoś jeszcze ucierpiał, gdyby mi się nie udało. Powiedz mi pan, jak paskudnie się poharatałem?

Kinton uświadomił sobie z poczuciem winy, że mężczyzna powinien odpoczywać. Zatopiony w rozmowie, stracił poczucie czasu, podczas gdy inni, którzy z nim przyszli, stali dookoła i obserwowali ich z uwagą.

Przepytał krótko doktora i przekazał informacje, że Birken miał co prawda złamaną nogę, ale jego inne obrażenia, nie były specjalnie poważne.

– Zobaczy pan, że poskładają pana do kupy – zapewnił przybysza z kosmosu. – Są w tym całkiem nieźli, nawet jeżeli ich wygląd raczej przywodzi panu na myśl iguany. Proszę teraz odpoczywać. Wrócę do pana, kiedy tylko poczuje się pan trochę lepiej.

Przez następne trzy tygodnie, niemal każdego dnia, Kinton latał w tą i z powrotem, ze swojego miasteczka do szpitala. Czuł, że nie powinien zaniedbać tych kilku spotkań, które były jedynym sposobem w jaki mógł odpłacić się Tepoktanom, za to co dla niego zrobili. Z drugiej strony, szansa na to, aby zobaczyć się i porozmawiać z kimś ze swojej własnej rasy, przyciągała go do szpitala jak magnes.

Lekarze zoperowali nogę Birkena, wstawiając do wnętrza kości metalowy pręt, stosując metodę, którą znali jeszcze zanim opisał ją Kinton. Oczekiwano, że przybysz zdolny będzie do ostrożnych spacerów po opieką, już w ciągu kilku najbliższych dni. Jednak kiedy kość się zrośnie, pręt trzeba będzie usunąć. W międzyczasie, zdawało się, że Birken nabrał ochoty na wyciagnięcie z Kintona wszystkiego, co tylko ten ostatni mógł mu powiedzieć, na temat planety Tepokt.

Sam, natomiast, był niesamowicie małomówny. Kinton był tym mocno zaniepokojony.

– Myślę, że nie powinniśmy oczekiwać zbyt wiele po tym drugim Terraninie – z niepokojem ostrzegał Klafta. – Wy również macie obywateli, którzy nie zawsze przestrzegają waszego prawa, którzy czasami… to jest…

– Którzy urodzili się, by skończyć kładąc głowę pod topór, jak my to nazywamy – przerwał mu Klaft, tak jakby chciał ulżyć zatroskaniu, widocznemu na twarzy Kintona. – Innymi słowy, przestępcy. Podejrzewasz, że Albirken jest jednym z nich, George?

– To nie jest wykluczone – przyznał nieszczęśliwym głosem Kinton. – Bardzo mało opowiada mi o sobie. Możliwe jest, że wpadł w pułapkę grawitacyjną Tepokt, właśnie wtedy gdy uciekał przed sprawiedliwością.

Co do siebie, to żałował, że powiedział Birkenowi o statku kosmicznym. Wydawało mu się, że mężczyzna nie do końca wierzył jego wyjaśnieniom, dlaczego nie było sensu próbować nim startu.

Jednak pomimo wszystko starał się spędzać na odwiedzinach nowo przybyłego człowieka, tak wiele czasu, jak to tylko było możliwe. Pewnego dnia, kiedy szarym świtem, helikopter wylądował w miejskim porcie lotniczym, dopadły go nowiny.

– Drugiego Terranina nie ma – przekazał mu Klaft, odwracając się od zdyszanego posłańca, w stronę wychodzącego z maszyny Kintona.

– Nie ma? Co się stało? Zabrali go gdzieś?

Klaft spoglądał na niego z niepokojem i zakłopotaniem. Kinton powtórzył swoje pytanie, ze zdziwieniem przyglądając się grupie, stojących w pobliżu, uzbrojonych policjantów.

– Powiedzieli mi, że w nocy – wysyczał i wycmokał Klaft, – w czasie kiedy nikt nie pomyślał, żeby go obserwować… i zupełne poważnie myślę sobie…

– No dalej, wykrztuś to z siebie, Klaft! Proszę!

– A więc, w nocy, Albirken opuścił salę, w której leżał. Teraz może już trochę chodzić, jak wiesz, dzięki metalowej szpilce doktora Chuxolkhee. On… on ukradł samochód i odjechał.

– Co zrobił? – Kinton poczuł pustkę i ssanie w dolnej części żołądka. – Czy wiadomo może, dokąd mógł pojechać? To znaczy… bardzo się palił, żeby zobaczyć trochę Tepokt. Może więc…?

Przerwał, a jego własne słowa odbijały mu się głośnym echem w uszach. Klaft zastukał pazurem o pazur, w geście zdecydowanego zaprzeczenia.

– Za Albirkenem – powiedział po chwili, – innym pojazdem natychmiast pojechało trzech konstabli policji. Znaleźli go, jak zmierzał prosto w stronę naszego miasteczka.

– Co im powiedział? Dlaczego jechał w tamtym kierunku? – spytał Kinton, jednocześnie od razu myśląc o statku kosmicznym. Czy ten człowiek oszalał?

– On nic nie powiedział – odparł pozbawionym wyrazu głosem Klaft. – Wziął ich z zaskoczenia i zabił dwóch konstabli oraz zranił trzeciego, a potem uciekł z jedną z ich włóczni.

– *Słucham*?

Kinton czuł jak oczy rozszerzają mu się z konsternacji.

– Tak, ponieważ oni mieli przy sobie tylko krótkie włócznie jako oznaki władzy. Nie spodziewali się konieczności użycia broni palnej.

Kinton powiódł wzrokiem od niego, do posłańca, po raz pierwszy zauważając, że tamten był podoficerem policji. Pokręcił głową nad swoim gapiostwem. Okazało się, że jego podejrzenia odnośnie Birkena, były wręcz aż za dokładne.

Dlaczego to właśnie taki ktoś jak on, przedostał się na planetę? zapytał sam siebie w cichej udręce. Po dziesięciu latach. Do tej pory Tepoktanie myśleli dobrze o Terranach, ale teraz…

Nie martwił się o swoją własną pozycję. Ta była dostatecznie dobrze ugruntowana, niezależnie od tego czy mógł spojrzeć w oczy ludziom o purpurowych łuskach, którzy byli dla niego tacy szczodrzy, czy nie.

A nawet gdyby to zabójstwo wzbudziło w nich wściekłość, to nie było sensu przejmować się sobą. Osiągnął już całkiem zaawansowany wiek jak na człowieka kosmosu. A tak prawdę mówiąc, to już od dziesięciu lat, cieszył się życiem w pożyczonym czasie.

Ale, jak sobie z tego zdawał sprawę, oni byli znacznie bardziej cywilizowani, niż ten bezwzględny morderca.

Wyprostował plecy, zmuszając się do odrzucenia wczesno-porannego zmęczenia.

– Musimy natychmiast startować – powiedział do Klafta. – Być może uda nam się go znaleźć, zanim dotrze do…

Urwał przed słowem „statku”, ale zauważył specyficzny wyraz szpiczastej twarzy Klafta. Prawdopodobnie jego doradca doszedł do podobnej konkluzji co on.

Weszli z powrotem do kabiny i Klaft wydał kilka energicznych poleceń szczupłemu, młodemu pilotowi. Chwilę później, Kinton zobaczył jak ziemia pozostaje coraz dalej w dole, pod nimi.

Dopiero kiedy odwrócił się do tyłu, zdał sobie sprawę, że koło nich zmaterializowali się dwaj Tepoktanie, akurat w odpowiedniej chwili by zdążyć wejść za Klaftem do środka.

Jeden z nich był konstablem, ale w drugim rozpoznawał dosyć wysokiej rangi oficera. Obaj mieli przewieszoną przez pierś broń, przypominającą pistolety o długich lufach, z wielkimi rękojeściami, dziwnie zaprojektowanymi, tak by pasowały do pazurów Tepoktan. Konstabl niósł w dodatku urządzenie z poczwórną rurą, służące do wystrzeliwania małych rakiet, nie grubszych niż kciuk Kintona. Były one, jak wiedział, wyładowane materiałem wybuchowym, godnym respektu, na każdej planecie, o której słyszał.

Aby chronić jego?, zastanawiał się. Czy też aby dopaść Birkena.

Pilot skierował helikopter w coraz jaśniejsze niebo wczesnego dnia, zmierzając z powrotem, w kierunku miasteczka Kintona. Na długo zanim w zasięgu wzroku pojawiły się zabudowania jego instytutu, otrzymali przez radio wiadomość o Birkenie.

– Zauważono go na drodze prowadzącej na tamę – rzeczowo przekazał Klaft, po powrocie z kabiny pilota. – Zatrzymał się, żeby zdobyć paliwo od robotników wykonujących jakieś prace remontowe, ale zostali oni wcześniej ostrzeżeni i uciekli.

– Nie mogli spróbować go złapać? – dopytywał się Kinton. Jego głos zabrzmiał ostro z powodu zatroskania, które usiłował opanować. – Przypuszczam, że pewnie ciągle ma tę włócznię, ale przecież jest sam, i to do tego ranny.

Klaft zawahał się.

– No co, nie mogli tego zrobić?

Doradca uciekł wzrokiem na bok, poza jedno z okien, spoglądając na jakieś zabarwione przez słońce obłoczki, których kolory rozciągały się od różowego do pomarańczowego. Wykrzywił się w grymasie i szczęknął z zakłopotaniem wystającymi zębami.

– Być może, wydawało im się, że mógłbyś poczuć się obrażony, George – w końcu odpowiedział.

Kinton aż opadł na siedzenie, specjalnie wyścielane, żeby pasowało do kształtów terrańskiego ciała, i w milczeniu wbił wzrok w przegrodę za pilotem.

Innymi słowy, pomyślał sobie, to on był odpowiedzialny za Birkena, który przecież był Terraninem, istotą z jego gatunku. Może rzeczywiście nie chcieli ryzykować urażenia jego uczuć, ale to była tylko część tego

wszystkiego. Pozostawili to jemu samemu, aby zajął się czymś, co oni uważali za jego prywatną sprawę.

Zastanawiał się co zrobić. Prawdę mówiąc, nie za bardzo wierzył, by Birken miał zaburzenia psychiczne, albo działał pod jakimś innym wpływem, niż jego własna zbrodnicza i egocentryczna natura.

– Nie powinienem mu mówić o tym statku! – wymruczał pod nosem Kinton, przygryzając kostkę kciuka u lewej ręki. – On ucieka, no dobrze. Prawdopodobnie wystraszył się, że władze kolonialne będą go ścigać nawet przez Kopułę Oczu. Ciekawe, co on tam zrobił?

Zacisnął usta i rozejrzał się szybko dookoła, żeby zobaczyć, czy nie został podsłuchany. Klaft i funkcjonariusze policji wyglądali przez znajdujące się obok ich siedzeń okna. Kinton zaniepokojony, starał się sobie przypomnieć, czy odezwał się po Terrańsku, czy Tepoktańsku.

Czy Birken posłuchałby, gdyby próbował go przekonać, spytał sam siebie. Być może, jeżeli pokaże temu człowiekowi, w jaki sposób udowodniono nieprzewidywalny charakter przesmyków przez Kopułę Oczu…

Jego uwagę przyciągnęło wołanie konstabla. Podniósł się i przepuścili go do przeciwległego okna.

W oddali, za lądowiskiem, w miasteczku, do którego właśnie się zbliżali, Kinton zauważył stojący samochód. Przez równinę, w żółtawo brązowym kolorze, przedzierała się samotna postać, zmierzająca prosto w stronę sterczącego w górę statku, który nigdy jeszcze nie oderwał się od ziemi.

– Rezygnujemy z lądowania w mieście! – warknął Kinton. – Lecimy bezpośrednio do statku!

Klaft przekazał polecenie pilotowi. Helikopter pomknął przez równinę po opadającej ku ziemi trajektorii, lecąc w kierunku błyszczącego kadłuba.

Kiedy minęli znajdującego się w dole człowieka, Birken popatrzył do góry. Przez cały czas kuśtykał przed siebie, w żwawym tempie, podpierając się przy pomocy czegoś, co wyglądało jak krótka włócznia.

– Schodź na ziemię! – polecił Kinton.

Pilot wylądował mniej więcej sto jardów od statku kosmicznego. Jednak zanim pasażerowie z niego wysiedli, Birken znalazł się już na ich wysokości, jakieś pięćdziesiąt stóp dalej.

– Birken! – krzyknął Kinton. – Jak się panu wydaje, dokąd pan zmierza?

Wiedząc, że nikt go nie goni, Birken zwolnił nieco tempo poruszania się, ale przez cały czas szedł w stronę statku. Obejrzał się na nich przez ramię.

– Przykro mi, Kinton – krzyknął, bez zauważalnego śladu żalu w głosie. – Wydaje mi się, że dla mojego zdrowia, lepiej będzie jak wyruszę w dalszą podróż.

– Tam, na górze nie ma cholernie nic zdrowego! – zawołał Kinton. – Mówiłem panu przecież, że nie ma wolnej drogi…

– Tak, tak. Mówiłeś mi pan. Ale to nie musi wcale oznaczać, że ja w to uwierzyłem.

– Proszę poczekać! Czy wydaje się panu, że oni nie wysyłali w górę rakiet bezzałogowych? Wszystkie zderzyły się z meteorami i wybuchły.

Wyraz twarzy Birkena nie uległ poważniejszej zmianie, niż gdyby wygłosił komentarz odnośnie pogody.

Kinton zrobił sześć lub siedem kroków do przodu, pomimo niepokoju czując irytację, na sposób w jaki Birken upierał się na dryfowanie w wybranym przez siebie kierunku.

Kinton nie mógł go tak po prostu złapać. Chora noga, czy nie, tamten byłby w stanie prawdopodobnie, rozerwać starszego człowieka na pół.

Obejrzał się do tyłu, na znajdujących się koło helikoptera Tepoktan, Klafta, pilota, oficera i konstabla z bronią rakietową.

Stali w milczeniu, spoglądając na niego.

Wezwanie o pomoc dotarło mu na wargi, ale tam umarło.

– To nie ich sprawa – wymamrotał. Odwrócił się znowu w stronę Birkena, który nieustannie oddalał się w kierunku statku. – Ale jedyne co on może osiągnąć, to zabić siebie samego i zniszczyć statek! Albo jeżeli nawet jakimś cudem, uda mu się przebić, to jeszcze gorzej! Znowu znajdzie się na wolności i obróci się przeciw cywilizowanej kolonii.

Ukłucie wstydu ściągnęło mu kąciki ust do dołu, kiedy zdał sobie sprawę, że pozostawienie Birkena tutaj, również wystawiłoby wysoce cywilizowane społeczeństwo, na pastwę pozbawionego skrupułów przestępcy, który już popełnił morderstwo, niemal od razu, kiedy tylko spotkał się ze sprzeciwem.

– Birken! – krzyknął. – Po raz ostatni ostrzegam! Czy chce pan, żeby ich wysłał, żeby pana tu przyciągnęli z powrotem?

Na te słowa, Birken zatrzymał się. Obrzucił wzrokiem stojących nieruchomo Tepoktan, z szyderstwem w oczach.

– Nie wyglądają na specjalnie chętnych, żeby po mnie przyjść – zadrwił.

Kinton warknął pod nosem tepoktańskie określenie, którego znaczenie wydedukował, po tym jak usłyszał je kiedyś, użyte przez robotników budujących tamę.

Zakręcił się na pięcie, żeby pobiec w stronę helikoptera. Jednak zanim zdążył zrobić zaledwie dwa kroki, zobaczył zaskakującą zmianę w starannie dotychczas utrzymywanej obojętnej postawie swojej eskorty. Konstabl na wpół uniósł trzymaną w ręku ciężką broń, a Klaft wyskoczył do przodu z syczącym okrzykiem.

Zanim starzejące się mięśnie Kintona posłuchały przekazywanych im impulsów, nakazujących wykonanie kroku w bok, włócznia już zdążyła przelecieć obok niego. Chybiła w odległości ponad sześciu stóp.

Poczuł, że jego twarz czerwienieje z nagłego gniewu. Birken biegł do statku najszybciej jak tylko mógł, i pokonał już niemal połowę dzielącej go od niego odległości.

Kinton podległ do Tepoktan, ignorując zaniepokojonego Klafta. Wyrwał ciężką broń z rąk zaskoczonego konstabla.

Odwrócił się i uniósł ją na wysokość piersi. Aby pasować do krótkich rąk Tepoktan, wyrzutnia skonstruowana była tak, że jej kolba opierała się o pierś, podczas gdy przyrządy celownicze znajdowały się przed oczyma. Cienkie rurki wyrzucające rakiety umiejscowione były nad głową, tak by operator broni nie został trafiony odrzutem.

Przyrządy celownicze chwiały się i tańczyły wokół biegnącej postaci. Ku swojemu zaskoczeniu, Kinton zdał sobie sprawę z tego, że wysiłek związany ze zdobyciem broni, wywołał u niego zadyszkę. Albo może był to efekt strachu przed rzuconą w niego włócznią? Zdecydował że rzut Birkena nie był na tyle bliski, aby przynieść podobny skutek, i w związku z tym zastanawiał się, czy nie chodzi tu raczej o strach przed wynikiem jego własnej impulsywnej akcji.

To nie było fair, skarżył się sam sobie. Ten biedny głupiec miał tylko włócznię, a nie można było go winić za pragnienie powrotu do swojej własnej rasy. Utykał… był ranny… jak można było oczekiwać, że będzie w stanie racjonalnie myśleć…?

Wtedy jednak, nagle, jego wargi zacisnęły się w cienką linię. Celownik ustabilizował się na Birkenie, kiedy tamten znajdował się już u stóp drabinki prowadzącej do włazu wejściowego statku kosmicznego.

Kinton nacisnął przycisk odpalający.

Przez stujardową przestrzeń, pomknęły smugi czterech małych płonących pocisków. Kinton, nawet nie widząc dokładnie każdego z nich, miał generalny obraz czterech linii stopniowo rozchodzących się w locie, aby obramować postać Birkena.

Jedna z rakiet uderzyła w ziemię obok człowieka, który właśnie stawiał nogę na dolnym stopniu drabinki, i wpadła za jedną z płetw ogonowych statku, zanim eksplodowała. Dwie kolejne wybuchły na kadłubie, rozrzucając metalowe szczątki, a jeszcze jedna huknęła we wspornik drabinki, tuż nad głową Birkena.

Przybysz z kosmosu został zdmuchnięty z drabinki. Przez moment balansował na piętach, z rozcapierzonymi palcami, wyciągając ręce w stronę uchwytu, od którego został oderwany. Potem upadł jak bezwładny tobołek na żółtawą darń.

Kinton westchnął.

Konstabl zabrał mu broń, sprawnie ją przeładował i zaproponował ponownie. Kiedy Terranin po nią nie sięgnął, szponiastą dłoń wyciągnął oficer i sam wziął ją do ręki. W milczeniu wskazał gestem i konstabl potruchtał przez miejsce interwencji, a następnie pochylił się nad leżącym Birkenem.

– Nie żyje – powiedział Klaft, kiedy konstabl się wyprostował z krótkim machnięciem ręką.

– Proszę, czy… czy ktoś mógłby się nim zająć? – zapytał Kinton, odwracając się w stronę helikoptera.

– Tak, George – odparł Kleft. – George…?
– Tak?
– To byłoby bardzo istotne… to jest, wydaje mi się, że doktor Chuxolkhee chciałby…
– W porządku – poddał się Kinton, zaskoczony szorstkością swojego głosu. – Tylko powiedz mu, żeby teraz przez całe miesiące, nie znosił mi szkiców różnych organów!
Wsiadł do helikoptera i opadł ciężko na swoje siedzenie. Wkrótce zdał sobie sprawę, że Klaft przeciska się przejściem między fotelami, by zająć miejsce. Uniósł wzrok, i popatrzył na niego.
– Policjanci zostaną tu, dopóki nie przybędą samochody z miasteczka. Już tutaj jadą – powiedział jego doradca.

Kinton wpatrywał się w swoje ręce, dziwiąc się temu, że się nie trzęsą. Czuł przygnębienie i pustkę, zupełnie nie jak człowiek, który właśnie działał na najwyższych obrotach.
– George, dlaczego nie pozwoliłeś mu odlecieć?
– Co? Przecież… przecież… zniszczyłby statek nad budową którego tak ciężko pracowaliście. Nie ma bezpiecznej drogi przez Kopułę Oczu.
– Żadnej możliwej do przewidzenia drogi – skorygował go Klaft. – No i co z tego? Przecież zbudowalibyśmy kolejny statek, George. Teraz, jak już nam pokazałeś jak to zrobić.
Kinton powoli wygiął palce.
– On nie był dobrym człowiekiem. Wiesz przecież o morderstwie, którego tutaj dokonał. Możemy się tylko domyślać, co zrobił pośród moich… pośród Terran. Czy miałem dać mu szansę, żeby tam wrócił i popełnił kolejne przestępstwa?
– Rozumiem logikę tego, George – powiedział Klaft. – Chciałem tylko… może to nie należy do mnie, aby coś takiego w ogóle mówić… ale, ty wydajesz się nieszczęśliwy.
– Możliwe – kwaśno chrząknął Kinton.
– My też mamy przestępców – zauważył doradca tak delikatnym tonem, jak to tylko było możliwe w jego trzeszczącym języku. – Nie uważamy, że powinniśmy smucić się z powodu bólu, jak sami sobie przynoszą.
– Nie, mnie też się wydaje, że nie – westchnął Kinton. – Ja… chodzi tylko…
Uniósł wzrok i popatrzył na szpiczastą twarz, na obce oczy spoglądające na niego ze współczuciem, spod nachylonego, pokrytego purpurowymi łuskami, czoła.
– Chodzi mi tylko o to, że jestem samotny… znowu – wyznał.

KONIEC